

Dzieci albo życie

31 maja 2015

Do społecznej świadomości powoli przebija się komunikat, że niektórzy ludzie nie chcą mieć potomstwa, ale mimo to wciąż musimy uzasadniać nasz świadomy wybór o wolności od dziecka.

Są emocjonalnie i fizycznie wyczerpujące. Niezwykle drogie w utrzymaniu. Ograniczają wolność. Zwiększają stres. Obiektywnie argumenty za posiadaniem potomstwa są absurdalne. Zwłaszcza że współczesna nauka coraz częściej poddaje w wątpliwość istnienie tak zwanego instynktu rodzicielskiego. Nie u każdego mężczyzny i nie u każdej kobiety się on objawia. Także po urodzeniu potomka. Część po prostu siebie w takiej roli nie zaakceptuje, a za kulturowe uwikłanie w niechciane rodzicielstwo płacą dzieci. Akademicy przyznają, że nierodzicielstwo coraz bardziej wpisuje się w rozwój cywilizacyjny na podobnej zasadzie, na jakiej wydłuża się życie. Antropologowie podkreślają, że miejsce dziecka na mapie planów, potrzeb, celów i inwestycji zmieniło się zasadniczo. A mimo to – zarówno przez media, popkulturę, jak i społeczeństwo – nierodzicielstwo jako świadomy, przemyślany wybór wciąż wymaga wyjaśnienia, tłumaczenia i uzasadnienia. Dla konserwatystów to symbol upadku wartości i skrajnego egoizmu współczesnych młodych ludzi.

Dla demografów to niebezpieczna tendencja poddająca próbie system ubezpieczeń społecznych, rent i emerytur. Dla polityków to dzwonek alarmowy i źródło populistycznych rozwiązań. Na społecznej linii pojawia się także jakieś napięcie między tymi, którzy mają dzieci, i tymi, którzy nie chcą ich mieć. O wspólną przestrzeń publiczną. O nierówny dostęp do mieszkań komunalnych, świadczeń społecznych i zasiłków. Dyskusje o poświęceniu, składaniu ofiary, przekonywanie o doświadczeniu, które nadaje sens życiu, a także rozwija i poszerza horyzonty oraz zarzuty o egoizm z jednej strony, a deprecjonowanie młodych matek i ojców, krytyka nadmiernej dietności,

szysterstwo z drugiej. Powoli kształtuje się nowy front wojny kulturowej. I wydaje się, że bezdzietni stoją na przegranej pozycji. W XXI wieku wciąż żyjemy w kulturze, w której rodzicielstwo jest wymaganym i nieodłącznym elementem dorosłości.

PRZEMĄDRZAŁE EGOISTKI

Kilka miesięcy temu wiadomość o tym, że niechęć do dzieci wzrasta wraz z ilorazem inteligencji oraz poziomem wykształcenia, wzbudziła medialne zamieszanie. Amerykańskie Pew Research Center w nieco alarmistycznym tonie poinformowało, że niemal jedna piąta Amerykanek w wieku powyżej czterdziestu lat nie urodziła ani jednego dziecka. Wśród tych z tytułem magistra lub doktora bezdzietna jest blisko jedna czwarta. Brytyjski tabloid „Daily Mail” od razu rozpoczął kampanię przeciwko „białym, przemądrzałym kobietom”, którym zarzucił „destrukcyjny egocentryzm”. Szacowny „Time” na jednej ze swoich okładek umieścił zadowoloną młodą parę „leniwych yuppies”, tzw. DINKs (Double Income No Kids), którzy w pogardzie mają „imperatyw rozrodczy”; kobieta z olbrzymią satysfakcją opowiada o swojej szczupłej sylwetce, braku cellulitu i nieograniczonych wakacjach. A potem kampania przeciwko „przemądrzałym egoistkom” rozpętała się na dobre.

Zarzuty o antyreligijność i zmasowaną kontrkulturę skierowaną przeciwko tradycyjnemu modelowi rodziny pojawiły się nawet na łamach liberalnych w teorii mediów. Argumentacja rodem z niszowych pism katolickich, mentalnego skansenu lat 50. ubiegłego wieku, weszła do głównego nurtu. Nierodzicielstwo uznane zostało za samolubną, narcystyczną, nieodpowiedzialną postawę i uchylanie się od społecznego oraz biologicznego obowiązku. W tym historycznym ataku obrońców „tradycji” argumenty bezdzietnych, że wolność od dziecka pozwala kultywować wybrany styl życia, rozwijać karierę, realizować pasje bez obciążeń i życiowych zobowiązań, a także jest osobistym wyborem, do którego każdy ma prawo – wybrzmiały słabo. Bo przecież na szali postawiono przyszłość ludzkości,

stabilność systemu ubezpieczeń społecznych, rozwój cywilizacyjny. W tym kontekście nieśmiałe głosy o wolnym wyborze w kwestii nieposiadania potomstwa brzmiały rzeczywiście nieco egoistycznie. Problem w tym, że ten ciąg myślowy, który powtarzany jest zgodnym chórem przez polityków, publicystów i ekspertów, ma zasadniczą wadę. Rozwiązywanie problemu nadmiaru emerytów przez masową produkcję dzieci może przynieść ulgę na krótką metę, ale tak naprawdę jedynie zwiększa problem, odsuwając go w czasie. Choroba współczesnych społeczeństw to nie brak rąk do pracy, ale bezrobocie. I tak naprawdę nie ma powodu, żeby uważać, że coś tu się zmieni na lepsze. 15 lat temu Hans-Peter Martin i Harald Schumann w kultowej książce „Pułapka globalizacji” opisali wizję społeczeństwa formuły 20/80, w którym do funkcjonowania zglobalizowanej gospodarki wystarczy 20 proc. ludzkości, podczas gdy pozostałe 80 proc. stanowić będzie populację zbędną, funkcjonującą na takich czy innych formach socjału.

POŻERACZE ZIEMI

Z punktu widzenia zasobów naturalnych na świecie już w tej chwili żyje o wiele więcej ludzi, niż powinno. To oblicza się dość precyzyjnie za pomocą pojęć takich jak hektar globalny i ślad ekologiczny. Obrazują one, że da się obliczyć powierzchnię lądu i morza potrzebną do odnowienia zasobów zużytych w ciągu roku na konsumpcję i absorpcję odpadów, a także powierzchnię, jaką dysponujemy. To się potem przelicza na głowę mieszkańca i mamy efekt mówiący o tym, w jakim tempie przeciętny Ziemianin zużywa Ziemię. Gdyby proporcje stanowiły 1:1 – oznaczałoby to, że ludzkość może w nieskończoność funkcjonować na obecnym poziomie konsumpcji, a Ziemia będzie się sama regenerować. Oczywiście tak nie jest. Średnio na świecie na człowieka przypada 1,78 hektara globalnego, a konsumuje on 2,7. Ślad ekologiczny rośnie wraz z zamożnością państwa. Konsumpcja Amerykanów i Europejczyków jest dramatycznie większa niż mieszkańców Afryki czy Azji.

Jednak zwiększenie diety to nie tylko kwestia ekologii.

Pojawiają się także problemy społeczne. W Wielkiej Brytanii – przy dzietności rzędu 1,9 – z coraz mniejszym skrępowaniem mówi się o tym, że ludzi jest za dużo. W badaniach opinii publicznej przeprowadzonych kilka lat temu 51 proc. Brytyjczyków oświadczyło, że na Wyspach powinno mieszkać nie więcej niż 60 mln ludzi. Dziś jest ich ponad 63 mln, z czego 52 mln mieszka w Anglii – piątym najgęściej zaludnionym kraju na ziemi. Nadmiar ludzi, produkowany przez rozrodczość i emigrację, odbija się na jakości życia, stanie zdrowia i szansach życiowych. Pozbawione własnej przestrzeni życiowej dzieci są bardziej chorowite, słabiej się rozwijają, gorzej się uczą. Przemieszczanie się po mieście staje się dramatycznym problemem, nowe mieszkania pochłaniają tereny rekreacyjne i rolnicze. Ludzka stonka pożera wszystko, co spotka na drodze, a jej rozwój postępuje w tempie geometrycznym. Nie dziwi więc, że gwiazda BBC sir David Attenborough jest patronem i twarzą organizacji Optimum Population Trust, która stawia sobie za cel przełamanie tabu związanego z kontrolą populacji ludzkiej. Podszyta religią, patriarchalnym stosunkiem do kobiet i ukrytym nacjonalizmem obsesja w sprawie kontroli urodzin tych namawiających do większej dzietności jest w dłuższej perspektywie szkodliwa zarówno dla planety, jak i społeczeństw. A przecież odchodzenie od sztywnych ról życiowych to szerszy trend, w gruncie rzeczy pożyteczny, przez socjologów nazywany drugim przejściem demograficznym. Gatunek ludzki najpierw uniezależnił się od wpływu środowiska, wymyślając antykoncepcję (regulacja poczęć) i doskonaląc medycynę (względne uniezależnienie się od przedwczesnej śmierci), a teraz pracuje nad wolnością od wpływu środowiska społecznego, od ocen cioć, babć, ostracyzmów, medialnej krytyki. Dokonywanie wyborów i uznanie, że najważniejsze dla nas są własne potrzeby i pragnienia, nie jest samolubne. To podejście radykalne i transformacyjne. I dobre dla środowiska.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: eLondyn.co.uk